

Wyśmienita dawka K-popowych idoli i sekretnych romansów

– MAURENE GOO, autorka kultowego romansu K-popowego

Somewhere Only We Know

AXIE OH

XOXO

MIŁOŚĆ W STYLU K-POP

A co, jeśli
znalezienie miłości
twojego życia

beyA.

więzałoby się
z utratą przyszłości,
o jakiej marzyś?

Tytuł oryginału: XOXO

Tłumaczenie: Edyta Ładuch

Korekta językowa: Dominika Dziarmaga

ISBN: 978-83-289-0233-6

XOXO Copyright © 2021 by Axie Oh

Translation Copyright © 2024 by Helion S.A.

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/xoxomi>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1

Klub karaoke Jaya znajduje się w pasażu handlowym koreańskiej dzielnicy Los Angeles, pomiędzy herbaciarnią „Boba Land 2” a salonem fryzjerskim o dumnie brzmiącej nazwie „Imperium Włosów Sookie”.

Gdy przechodzę obok tego ostatniego, drzwi otwierają się z impetem.

— Jenny-yah! — krzyczy Sookie Kim, fryzjerka i właścicielka salonu, stając w wejściu z reklamówką w jednej ręce i prostownicą w drugiej.
— A ty co? Nawet się nie przywitasz?

— Dzień dobry, pani Kim. — Witam się, a następnie spoglądam ponad jej ramieniem w głąb lokalu, gdzie dostrzegam trzy siedzące obok siebie kobiety z głowami ukrytymi pod wielkimi wolnostojącymi suszarkami, oglądające K-dramę na przytwierdzonym do ściany telewizorze. — Dzień dobry, pani Lim, pani Chang i pani Sutjiawan.

— Cześć, Jenny — odpowiadają jednocześnie, na sekundę odrywając wzrok od serialu, by do mnie pomachać, po czym szybko wracają spojrzeniem na ekran, na którym lada moment dojdzie do finałowego pocałunku. Aktor pochyla głowę w jedną stronę, podczas gdy aktorka

przekrzywia swoją w drugą, ich usta stykają się i zamierają w takiej pozycji, a w tle rozbrzmiewa romantyczna melodia.

Wraz za napisami końcowymi kobiety opadają na fotel z rozmarzonymi westchnieniami. No cóż, przynajmniej dwie z nich.

— To wszystko?! — pyta rozgoryczona pani Sutjiawan, rzucając kapciem w telewizor.

— Masz. — Ignorując siedzące w salonie klientki, pani Kim podaje mi reklamówkę z jakimś jedzeniem. — To dla ciebie i twojej mamy.

— Bardzo dziękuję — odpowiadam, poprawiając płócienną torbę na ramieniu. Następnie odbieram ciasno związany pakunek, lekko się przy tym kłaniając.

— Twoja mama za dużo pracuje! — stwierdza pani Kim, cmokając z dezaprobatą. — Powinna pobyć trochę w domu i zadbać o swoją córkę.

Szczerze wątpię, by mama pracowała więcej niż pani Kim, ale dobrze wiem, że nie ma sensu z nią na ten temat dyskutować. Nie komentuję jej słów, tylko staram się uprzejmie uśmiechać i sprawiać wrażenie przyzwoitej młodej damy. Zdaje się, że moja taktyka działa, bo wyraz twarzy pani Kim łagodnieje.

— Twoja mama musi być z ciebie bardzo dumna, Jenny — dodaje kobieta. — Jesteś wzorową uczennicą i utalentowaną wiolonczelistką. Nieustannie powtarzam mojej Eunice, że najlepsze uczelnie przyjmują wyłącznie wybitne jednostki. Myślisz, że mnie słucha? A gdzie tam!

— Sookie-ssi! — woła ją jedna z siedzących w salonie pań.

— Idę! — odkrzykuje pani Kim, znikając wewnątrz swojego imperium, a ja popycham drzwi do sąsiedniego lokalu.

Od czasu, gdy w siódmej klasie zaczęłam brać udział w tych samych konkursach muzycznych co Eunice, pani Kim nieustannie nas do siebie porównuje. Biorąc pod uwagę ilość komplementów, które od niej słyszę, boję się myśleć, jakich słów musi wysłuchiwać jej córka. W sumie dawno już nie widziałam jej na zawodach, nie było jej nawet na ostatnich, tych

w ubiegłą sobotę, których wyniki wypalają mi teraz dziurę w kieszeni kurtki. Gdyby pani Kim przeczytała opinię wystawioną mi przez jury, nie byłaby już tak skora do pochwał.

Zawieszony nad drzwiami dzwonek sygnalizuje moje przybycie.

— Momencik! — rozlega się głos wujka Jaya, schowanego za zasłoną oddzielającą bar od kuchni.

Wchodzę za ladę, rzucam torbę na podłogę, otwieram małą lodówkę i wypycham między butelki soju plastikowe pojemniki z jedzeniem od pani Kim.

Tata i wujek kupili to miejsce siedem lat temu, by spełnić w ten sposób swoje młodzieńcze marzenie o prowadzeniu klubu z karaoke.

Wujek Jay nie jest tak naprawdę moim wujkiem, lecz dla mojego taty był niczym brat. Po śmierci taty wujek zapytał moją mamę, czy miałaby coś przeciwko, gdybym dorabiała sobie u niego po szkole. Początkowo nie była tym pomysłem zachwycona, obawiała się, że praca na pół etatu zabierze mi cenny czas, który mogłabym poświęcić na naukę i grę w orkiestrze, ale ustąpiła, gdy zapewnił ją, że w wolnej chwili będę mogła odrabiać tu lekcje. Tak naprawdę wychowałam się w tym lokalu. Pamiętam, jak tata stawał za barem, z uśmiechem na ustach, i przygotowywał wymyślne drinki, nie zapominając o bezalkoholowych dla mnie.

Przez lata nie pozwalano mi wchodzić za bar — mama bała się, że przywoła to falę bolesnych retrospekcji — ale póki co jest dobrze, a powracające wspomnienia wywołują jedynie uśmiech.

Spryskuję ladę środkiem czyszczącym, wycieram ją, a potem przechodzę do wysokich stolików barowych, by i je przetrzeć. W głównej sali nie ma żadnych klientów, ale gdy zerkam w głąb korytarza, zauważam, że zajętych jest kilka z prywatnych pokoi.

— Cześć, Jenny! Tak myślałem, że to ty — mówi wujek Jay, wyłaniając się zza zasłony z dwoma papierowymi talerzami, na których spoczywa parujące jedzenie. — Dziś podaję tacosy z bulgogi. Głodna?

— Jak wilk! — odpowiadam, wskazując na hoker, a on kładzie przede mną talerz z dwoma tacosami wypełnionymi bulgogi, marynowanym w jego popisowym sosie, z sałatą, pomidorami, serem i kimchi.

Zajadam się, a wujek włącza Netflixa i przegląda dostępne na platformie pozycje.

Mamy taki zwyczaj, że wczesnymi wieczorami, gdy nie ma jeszcze za dużego ruchu, spędzamy czas, jedząc i oglądając filmy. I to nie byle jakie, tylko azjatyckie filmy gangsterskie.

— Mamy to — oznajmia, włączając nasz klasyk, *Człowieka znikąd*. Oryginalny tytuł tego filmu to *Ajeossi* i opowiada on o zgorzkniałym, niepracującym już w służbach agencji specjalnym, który odkrywa, że porwano jego sąsiadkę, i na własną rękę wyrusza, żeby ją znaleźć i sprowadzić z powrotem do domu. To taka koreańska wersja amerykańskiej *Uprowadzonej*, tylko o niebo lepsza. Głównie dlatego, że gra w niej Won Bin, a on sprawia, że wszystko od razu staje się lepsze.

Wujek Jay włącza napisy i jemy, oglądając i komentując wiarygodność poszczególnych motywów, w tym sam fakt, że Won Bin, wcielający się rolę *ajeossi*, ma *trzydzieści trzy lata*, a gra mężczyznę w średnim wieku. Kiedy pojawiają się klienci, wujek ścisza głos i prowadzi nowo przybyłych do poszczególnych pokoi karaoke. Ja zaś rzucam co jakiś czas okiem na monitor informujący, czy ktoś nie wcisnął przypadkiem guzika przywołującego, służącego klientom do składania zamówień na jedzenie, a mi do ich przyjmowania. W tym czasie wujek Jay zajmuje się serwowaniem napojów.

Wraz z wybiciem dwudziestej pierwszej połowa pokoi jest już zajęta, film dobiega końca, a z głośników zaczyna lecieć K-pop. Wujek przygotowuje co miesiąc specjalną składankę najnowszych klipów z YouTube i puszcza je na klubowym telewizorze. Obserwuję, jak grupa dziewczyn, ubranych w kolorowe stroje, wykonuje skomplikowany i idealnie zsynchronizowany układ taneczny do chwytliwego utworu w stylu elektro-popu.

W przeciwieństwie do wielu osób z mojej szkoły mnie nigdy nie ciągnęło do K-popu. W sumie to nie ciągnie mnie do żadnego popu. Moją playlistę wypełniają Bach, Haydn i Yo-Yo Ma.

— Nie miałaś ostatnio jakiegos ważnego konkursu? — Zaskakuje mnie wujek Jay, przyglądając się zza baru przetartej właśnie szklance.

Momentalnie ściska mnie w żołądku.

— Tak, w sobotę — odpowiadam, obdarzając go niepewnym uśmiechem. — Dziś rano odebrałam wyniki.

— Tak? — Marszczy brwi. — I jak ci poszło?

— Wygrałam.

— Co? Serio? Gratulacje, mała! — wykrzykuje, unosząc zwycięsko pięść. — Moja siostrzenica jest najlepsza! — rzuca do pary siedzącej przy ladzie, zaskakując ich podczas konsumpcji tacosów.

— Jasne... — kwituję, wodząc palcem po wyrytych na blacie inicjałach połączonych sercem.

— Co jest? — Wujek stawia szklankę na ladzie i odkłada szmatkę na bok. — Widzę, że coś cię trapi.

— Sędziowie wystawili mi opinię. — Wyciągam z kieszeni kartkę, która wygląda, jakby wiele przeszła, a właściwie porządne gniecienie, prostowanie oraz składanie, i podaję ją wujkowi. — Przypuszczam, że ma mi to pomóc w przygotowaniach do kolejnych zawodów.

Wujek czyta treść, ja powtarzam ją sobie w pamięci.

Jenny jest niewątpliwie utalentowaną wiolonczelistką, biegłą pod względem technicznym, brakuje jej jednak iskry, która mogłaby wynieść ją na wyżyny i zmienić z artystki utalentowanej w wybitną.

W przyszłym roku setki podobnych mi wiolonczelistów będą ubiegać się o miejsce w najlepszych szkołach muzycznych w kraju i aby dostać się na wymarzoną uczelnię, nie mogą być jedynie utalentowaną artystką, muszą być wybitną.

— Utalentowana i biegła pod względem technicznym, brzmi całkiem niezłe — stwierdza wujek Jay, oddając mi złożoną kartkę.

Zabieram mu ją i wciskam głęboko w kieszeń.

— Przeoczyłeś chyba fragment, w którym nazwali mnie bezdusznym robotem.

— Na to wygląda — przyznaje wujek, śmiejąc się radośnie, ale najwyraźniej ma w sobie szczyptę współczucia, bo dodaje: — Czujesz się pewnie trochę zawiedzona, ale spójrz na to jak na konstruktywną krytykę. Nieustannie się przecież z nią stykasz.

— Nie mam problemu z *krytyką* — mówię, próbując ująć swoją frustrację w słowa. — Chodzi mi bardziej o to, że nic nie mogę z tym zrobić, nic nie mogę poprawić. Emocje wyrażane są w muzyce poprzez intensywność i dynamikę dźwięków, a w tym jestem świetna.

Rzuca mi pytające spojrzenie.

— A oni twierdzą, że brakuje mi iskry!

Wzdycha i opiera się o bar.

— Myślę, że chodzi bardziej o to, że nie znalazłaś jeszcze tej iskry, tego czegoś, co roznieci żar w twoim wnętrzu i zmotywuje cię do podążania za marzeniami. Weźmy za przykład twojego tatę i mnie, zdecydowaliśmy się otworzyć ten klub z karaoke, mimo że tak wiele osób nam to odradzało. Nawet twoja mama, choć jej się akurat nie dziwię, bo dorastając, nie miała zbyt wiele, i jak inni uznała nasz pomysł za absolutną stratę pieniędzy. Tylko że my wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo, mieliśmy świadomość, że może nam się nie udać, ale to nie powstrzymało nas przed spróbowaniem, przed spełnieniem naszego marzenia.

— No, ale... — zaczynam niepewnie. — Jaki to ma związek z przedstawicielami szkół muzycznych, którym chcę zaimponować?

— Dobra, pozwól, że przedstawię ci to trochę inaczej, okej? Pamiętasz ten film, który przed chwilą oglądaliśmy? *Ajeossi*, tak? Won Bin wypowiada w nim pewne zdanie; można je streścić, mówiąc, że ludzie

żyjący jutrem powinni lękać się tych, którzy żyją dniem dzisiejszym. Wiesz dlaczego tak jest?

— Nie bardzo — przyznaję. — Ale pewnie zaraz mnie oświecisz.

— Chodzi o to, że ludzie żyjący jutrem nie podejmują ryzyka, bo boją się konsekwencji. Podczas gdy ludzie żyjący dniem dzisiejszym nie mają nic do stracenia, więc wytrwale o siebie walczą. Mam tu na myśli to, że może powinnaś przestać skupiać się na przyszłości, przestać przejmować się tym, czy przyjmą cię do wymarzonej szkoły, tym, co wydarzy się później i... zacząć żyć. Pożyj trochę, doświadcz czegoś nowego, poznaj kogoś nowego. Uwierz mi, że dopiero, gdy naprawdę zaczniesz żyć, osiągniesz to, czego pragniesz.

Rozmowę przerywa nam dźwięk zawieszonego nad drzwiami dzwonka sygnalizującego nadejście nowych klientów.

— Dobry wieczór, państwu! — woła wujek i odchodzi, żeby się z nimi przywitać, zostawiając mnie z gonitwą myśli.

Zastanawiam się, czy nie napisać do mamy i nie zapytać jej o radę. Domyślam się jednak, że powie, żebym bardziej przykładała się do ćwiczeń i umówiła się z Eunbi na dodatkowe lekcje. No i że nie powinnam słuchać wujka Jaya. Bo o ile on skupia się na tu i teraz i na podążaniu za marzeniami, mama jest dużo bardziej praktyczna. Jej zdaniem udana kariera wiąże się z ciężką pracą i całkowitym poświęceniem muzyce oraz grze na wiolonczeli.

Wszystko inne to zbędne rozpraszacze.

Tylko że to nie jest przecież tak, że się nie staram, że *nie pracuję* wystarczająco dużo — zarówno pani Kim, jak i Eunice z pewnością przyznałyby mi rację — a jury *i tak* zdecydowało się napisać tych kilka słów krytyki.

Może wujek ma rację.

— Nie przejmuj się tym, mała — rzuca, wracając za bar. — Z czasem wszystko sobie poukładasz. Jeśli chcesz, możesz dziś skończyć

wcześniej. Bomi powinna być tu lada chwila. — Bomi to zgryźliwa studentka UCLA, Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, która pracuje zazwyczaj na nocnych zmianach. — Przed wyjściem sprawdź tylko ósemkę, okej? Skończył się czas, a nikt stamtąd nie wychodzi.

— Okej — odpowiadam, z westchnieniem zsuwając się z hokera, i udaję się w głąb korytarza. Jeśli jest jedna rzecz, której w tej pracy nie lubię, to jest nią konfrontacja z klientami. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego z tak wielkim trudem przychodzi im zapoznanie się z regulaminem.

Większość amerykańskich klubów z karaoke działa na takiej zasadzie, że klienci płacą za czas spędzony w pokoju dopiero pod koniec nocy. Stawki są zazwyczaj godzinowe, a klienci sami pilnują, ile czasu spędzają na śpiewaniu i ile ich to będzie kosztować. Tylko że wujek Jay prowadzi swój klub według zasad obowiązujących w Korei, czyli pobiera opłatę za ustalony z góry czas i jest on wyświetlany na zegarze w środku pokoju. W ten sposób ludzie nie płacą więcej, niż chcą wydać, a jeśli zechcą śpiewać dalej, mogą zawsze dokupić dodatkowy czas. Zdaniem mamy wujek nie ma zupełnie głowy do interesów.

Drzwi do pokoju numer osiem są zamknięte. Nie dochodzi zza nich żaden dźwięk, co ma sens, bo przecież skończył się już wykupiony czas. Pukam, po czym łapię za klamkę i wchodzę do środka.

Ósemka to największa sala w klubie, pokój dla VIP-ów mogący pomieścić grupę dwudziestu osób.

Tym bardziej dziwi mnie fakt, że wewnątrz zastaję tylko jedną osobę. To chłopak, mniej więcej w moim wieku, siedzący w kącie z zamkniętymi oczami i opierający się plecami o ścianę.

Rozglądam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu kogoś jeszcze, ale nikogo nie znajduję, na dodatek stół świeci pustkami, pozbawiony jakichkolwiek śladów jedzenia czy picia. Wynajęcie tego pokoju nie jest tanie, więc chłopak musi być bardzo bogaty. W sumie jego ubranie

wygląda na drogie. Ma na sobie jedwabną koszulę, ciasno przylegającą do ciała, a na długich nogach gładkie czarne spodnie. Lewą rękę ma w gipsie, a na prawym nadgarstku połyskuje kosztowny rolex. A to co? Czyżby miał prawdziwe *tatauaže* na przedramionach?

Jaki nastolatek ma ręce pokryte tatuażami?

Wracam spojrzeniem na jego twarz, zaskoczona, że zdążył już otworzyć oczy. Czekam, aż się odezwie, ale on milczy.

Odchrząkam.

— Wykorzystałeś już wykupiony czas. Jeśli nadal chcesz korzystać z tej sali, musisz dopłacić. Kolejna godzina będzie cię kosztować pięćdziesiąt dolarów. Jeśli nie chcesz płacić, musisz natychmiast opuścić ten pokój.

Zabrzmiało to dużo gorzej, niż miało. Trochę niegrzecznie, ale winę za mój zły nastój ponosi jury konkursu muzycznego.

Zapada przytłaczająca cisza, a jej moc potęguje jeszcze stroboskopowe światło wydobywające się z zawieszonej na suficie kuli dyskotekowej.

Zastanawiam się, czy mnie zrozumiał. A może on nie mówi po angielsku. Może jest z *Korei*. W sumie żaden amerykański nastolatek nie ubiera się tak stylowo.

Nie zrażam się i próbuję jeszcze raz, tym razem po koreańsku.

— *Sigan jinasseyo. Nagaseyo.* — Co w dosłownym tłumaczeniu oznacza: „Koniec czasu. Wynoś się”. Choć koreańska forma grzecznościowa łagodzi delikatnie przekaz, więc, *technicznie rzecz biorąc*, nie brzmi to aż tak źle.

— Już za pierwszym razem cię zrozumiałem — odpowiada chłopak po angielsku, a jego głos brzmi gładko i nisko. Ma ledwie wyczuwalny akcent, słyszalny na końcówkach wyrazów.

Na policzkach wykwita mi czerwony rumieniec.

— To dlaczego nic nie powiedziałeś?

— Rozważałem, czy powinienem się poczuć urażony.

Wskazuję na dużą laminowaną książkę leżącą na środku stołu. Jest tam lista wszystkich dostępnych tu piosenek.

— Regulamin klubu znajduje się na okładce tego spisu. Zaznaczono tam wyraźnie, że jeśli po piętnastu minutach od upływu zakupionego czasu nie dokupisz kolejnych minut, musisz niezwłocznie opuścić pokój.

Chłopak wzrusza ramionami.

— Skończyły mi się pieniądze.

Zerkam na jego designerskie buty. To Gucci.

— Wątpię — odpowiadam.

— Nie są moje.

Marszczę brwi.

— Ukradłeś je?

Chłopak milknie na chwilę, po czym mówi:

— Można tak powiedzieć.

Serio? Coś mi tu nie gra. Choć mam dziwne wrażenie, że on mówi prawdę. Tylko że nie widziałam, jak wchodził do klubu, i nie wiem, od jak dawna siedzi samotnie w tym pomieszczeniu. Nie jest to typowe zachowanie. No chyba że się przed kimś ukrywa. A może naoglądałam się po prostu zbyt wiele gangsterskich filmów i teraz wręcam sobie jakieś niestworzone historie.

Podchodzę bliżej, a on zdaje się robić to samo, odsuwając się od ściany.

— A może... — odzywam się ciszej. — Potrzebujesz pomocy...

W filmach dzieciaki w moim wieku nie wstępują zazwyczaj do gangów z własnej woli.

— Jakbyś pożyczyła mi z pięćdziesiąt dolarów, to byłoby super — rzuca chłopak, wzruszając ramionami.

Kręcę głową.

— Chodzi mi o to, czy masz może jakieś kłopoty. Na przykład... z gangiem.

Przez chwilę wygląda na zaskoczonego, otwiera szerzej oczy, a następnie dociera do niego, co mam na myśli, i spuszcza wzrok.

— Skąd wiesz?

— Masz pewnie z szesnaście, siedemnaście lat, tak? Wiesz, że w Stanach obowiązuje prawo chroniące nieletnich? — Może go szantażują, grożą mu, że jeśli czegoś nie zrobi, jego rodzinie lub przyjaciołom stanie się coś złego. — Jeśli potrzebujesz pomocy, wystarczy, że o nią poprosisz.

Ponownie zapada cisza, po czym chłopak odzywa się niepewnie.

— Ocaliłabyś mnie, jeślibym cię o to poprosił?

Łamię mi się serce.

— Na pewno bym spróbowała.

Chłopak podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy. Zamieram. Jak to możliwe, że jest taki... piękny? Ma nieskazitelną skórę, ciemne oczy, gładkie włosy i pełne czerwone usta.

Opuszcza głowę, a jego ramionami wstrząsa dreszcz. Czy on... płacze? Podchodzę bliżej i zdaję sobie sprawę, że...

On się śmieje. Uderza zdrową ręką o udo.

Co za palant! A tak się o niego *martwiłam*.

Odwracam się i wychodzę z pokoju.

W korytarzu spotykam stojącego nieopodal wujka Jaya, który dodaje dodatkowy czas do jednej z sal. Podnosi na mnie wzrok i wzdycha, wyczytując z wyrazu mojej twarzy targające mną emocje.

— Dzieciak nie chce wyjść, tak? Nie martw się, zaraz się tym zajmę.

Idzie w moim kierunku, ale zatrzymuję go, unosząc dłoń.

— Nie, daj mi chwilkę — mówię, czując, jak rezonuje we mnie jego dzisiejsza rada: „zaczynij żyć”. — Dam radę.

2



Wracam do pokoju i zastaję go w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam. Może powinno mnie to wkurzyć, bo ewidentnie ma gdzieś moje słowa, ale jakoś mnie to nie rusza.

— Dodałam dodatkowe dwadzieścia minut — oznajmiam.

Chłopak unosi brwi ze zdziwienia.

— Jakaś ty hojna.

— To nie prezent. Wyzywam cię na pojedynek.

Wpatruje się we mnie osłupiały.

— Zaraz wyjaśnię ci zasady — rzucam i sięgam po pilot sterujący urządzeniem do karaoke, po czym siadam obok nieznajomego, wciskając przycisk *Wynik*. — Od teraz maszyna będzie oceniać nasze występy — wyjaśniam. — Jeśli wygrasz, zafunduję ci kolejną godzinę, a jeśli ze mną przegrasz, to będziesz musiał stąd wyjść.

Zaskakuje mnie własna odwaga, bo nigdy wcześniej nie zdobyłam się na coś podobnego. Za nic w świecie nie pomyślałabym, że odważę się wyzwać kogoś na muzyczny pojedynek, a co dopiero najprzystojniejszego chłopaka, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Jak widać, krytyka jury zmotywowała mnie do zrobienia czegoś ze swoim życiem.

Może wujek Jay miał rację. Może wyjście z wygodnej strefy komfortu i wystawienie się na ocenę innych coś we mnie zmieni.

Przygryzam wargę w oczekiwaniu na jego ruch. Czy zdecyduje się podjąć wyzwanie? Moim zdaniem to propozycja nie do odrzucenia, bo jeśli nie zamierza płacić za kolejną godzinę, *i tak* będzie musiał opuścić ten pokój. Równie dobrze może spróbować swoich sił w bitwie karaoke i albo przegra i stąd wyjdzie, albo wygra i otrzyma dodatkowy czas, a wszystko w dość przyjemnej atmosferze.

Chłopak podnosi się w końcu i podchodzi do książki ze spisem dostępnych piosenek.

— Dobra. Przyjmuję wyzwanie. Ale obawiam się, że przeżyjesz niemiłe rozczarowanie, bo całkiem nieźle śpiewam.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech, z którego nietrudno wyczytać, że już zastanawia się, jak wykorzysta tę dodatkową godzinę. Nie wie jednak, że choć nie mam najlepszego głosu, to maszyna do karaoke ocenia głównie tonację, a moja jest idealna.

Nieznajomy podsuwa mi książkę z tytułami.

— Nie, dzięki. Wiem, co chcę zaśpiewać. — Podnoszę pilot i wyszukuję utwór po wykonującej go artystce. Decyduję się na Glorię Gaynor i jej piosenkę *I Will Survive*.

Rozlega się muzyka, a ja staję z mikrofonem w dłoni i zaczynam śpiewać. Wybrałam ten kawałek głównie z powodu jego szybkiego tempa, nie mam więc czasu na żadne wątpliwości czy gonitwę myśli, bo muszę się skupić na tym, żeby w ogóle oddychać. Dodatkowo tekst jest dość wymowny, a zwroty takie jak „wyjdź za drzwi” czy „nie jesteś tu mile widziany” w pewnym sensie pasują do sytuacji.

Gdy piosenka się kończy, opadam na kanapę, a na ekranie pojawia się wynik: 95.

Chłopak uderza delikatnie zdrową ręką o stół, co imituje klaskanie.

— Nieźle ci poszło — ocenia.

Z trudem łapię oddech, a policzki palą mnie żywym ogniem.

— Zostało nam zaledwie osiem minut, więc streszczaj się ze swoim wyborem — mówię, podnosząc na niego wzrok, i orientuję się, że mi się przygląda.

— To wybierz coś dla mnie — proponuje nieznajomy.

— Jesteś pewien? — upewniam się, po czym podnoszę książkę i otwieram na ostatnich stronach, gdzie znajdują się najnowsze piosenki. — Będziesz tego żałował. — Nie ma tam zbyt wiele piosenek po angielsku, za to koreańskie tytuły wypełniają ostatnie dwie kartki. Czytam na głos kilka nazw nieznanych mi zespołów.

— XOXO? Co to w ogóle za nazwa? — śmieję się.

— Zostało siedem minut — stwierdza chłopak, patrząc na mnie spod byka.

Tyle możliwości, tyle szans na wygraną. Otrzymana władza sprawia mi tak wiele radości.

— Wolisz śpiewać po angielsku czy koreańsku? — pytam.

— Bez różnicy.

— W sumie jesteśmy w koreańskim klubie karaoke, w *noraebang*, więc równie dobrze mogę wybrać ci coś po koreańsku, co? Problem w tym, że nie znam zbyt wielu utworów w tym języku.

— Serio? A hymn?

Aż mnie korci, żeby rzucić mu jakąś ciętą ripostę, ale powstrzymuję się i przychodzi mi na myśl pewna piosenka.

— Kojarzę taką jedną...

— Jaki tytuł?

— Nie wiem, ale mogę ci ją zanucić. — I zaczynam, ale tak dawno jej nie słuchałam, że nie pamiętam zbyt wiele. — Przepraszam — rzucam zawstydzona, kręcąc głową.

— *Gohae*.

Mrugam zaskoczona.

— Co?

— Angielski tytuł tej piosenki to *Confession*. Wyznanie. To znany utwór.

Wpatruję się w niego, nie mogąc uwierzyć, że go *zna* i że rozpoznał go po zaledwie kilku nutach.

— Była to jedna z ulubionych piosenek mojego taty — przyznaję.

— To tak jak u mnie.

Marszczę brwi.

— Też ją lubiłeś?

— Mój ojciec ją lubił.

Zapada chwila ciszy, w której uświadamiamy sobie, że rozmawiamy o naszych rodzicach, jakby już ich z nami nie było.

Chłopak sięga po pilota i szybkim ruchem przełącza język z angielskiego na koreański, dodatkowo wpisuje numer wybranego utworu.

Gdy w sali rozlega się znajoma muzyka, czuję, jak wszystko wewnątrz mnie nieruchomieje. *To ta piosenka*. Momentalnie rozpoznaję tę melodię, jej charakterystyczny dźwięk, a gdy on zaczyna śpiewać, zapominam, jak się oddycha.

Nie zwracałam nigdy zbyt dużej uwagi na jej tekst, teraz jednak te słowa otulają mnie niczym jedwab.

Nieznamy śpiewa o tym, że ma w sobie odwagę i siłę, żeby przeciwstawić się całemu światu, gdyby tego właśnie wymagała od niego miłość.

A jego głos, mimo że nie brzmi idealnie, tylko dość surowo i nie zawsze trafia w takt, to niesie ze sobą ogromną dawkę emocji.

Zalewa mnie fala wspomnień sprzed pięciu laty, kiedy to siedziałam po turecku w nogach szpitalnego łóżka taty i grałam z nim w karty, podczas gdy ta piosenka leciała gdzieś w tle. Śmialiśmy się wtedy do rozpuku. Tak mocno, że w naszych oczach lśniły łzy, i pamiętam, że

czułam się wtedy *taka szczęśliwa i chciałam, by to uczucie nigdy się nie skończyło i by moja radość trwała wiecznie.*

Wiadomo jednak, że nic nie trwa wiecznie.

Na ekranie pojawia się wynik: 86.

Skończył się czas. Chłopak odkłada mikrofon i poprawia temblak. Wstaje z kanapy i staje przed nim.

— Dziękuję — odzywa się do mnie niepewnie. Następnie kłania się, a ja odwzajemniam ukłon, co powinno być dla mnie dziwne, ale z jakiegoś powodu takie nie jest.

Chcę mu powiedzieć, że moim zdaniem to on zasługuje na wygraną, że każdy sędzia oceniłby jego występ wyżej niż mój. Bo tak naprawdę prawdziwy artysta to nie ten, który ładnie coś zaśpiewa, ale ten, który wzbudzi w słuchaczu jakieś emocje. A biorąc pod uwagę ból, jaki odczuwam teraz w swoim sercu, i to, jak bardzo wstrząsnęły mną moc wspomnień i siła tej piosenki, nie mam wątpliwości, że on ma w sobie tę iskrę, której mi najwyraźniej brakuje. Pragnę zapytać go, skąd ona się tak naprawdę bierze i co mam zrobić, żeby też ją zdobyć.

Nie odzywam się jednak, a on w milczeniu opuszcza salę i zamyka za sobą drzwi.

3



Wychodzę na korytarz i znajduję tam Bomi, ściąającą przez głowę bluzę z logo UCLA.

— Cześć, Jenny — mówi, widząc mnie. — Zbierasz się do domu? — pyta, upychając bluzę i resztę swoich rzeczy za barem. — Trzymaj się lepiej z dala od skrzyżowania Olympic i Normandie, bo jest tam teraz jakiś festiwal koreański i zablokowali ulice.

Wujek Jay rozsuwa zasłonę odgradzającą kuchnię od baru, niosąc tacę z talerzem pełnym smażonego ryżu z kimchi i dodatkiem jajka.

— Szefie... — zaczyna Bomi, podając mi moją torbę, a na jej miejsce kładzie swoją. — Mogłabym w niedzielę szybciej skończyć? Mam trochę nauki na egzaminy końcowe z ekonomii.

— Jasne. Wiesz dobrze, że ze mną nigdy nie ma problemu — rzuca wujek, po czym spogląda na mnie. — Nie zapomnij zabrać swoich resztek z lodówki.

— To *banchan*, a nie resztki — poprawiam go.

— Ale ci dobrze! — mówi Bomi. — Chciałabym, żeby ktoś przygotował dla mnie zestaw przystawek. A że nikt tego nie robi, żyję na ramenie przygotowywanym w ryżowarze.

Wraz z wujkiem wbijamy w nią zdziwione spojrzenie.

— Dlaczego nie używasz do tego Kuchenki? — pytam

— Jeśli nie muszę, to wolę nie wynurzać się ze swojego pokoju — odpowiada Bomi, wzruszając ramionami.

— W takim razie czuję się zaszczycony, że pojawiaasz się w pracy — stwierdza wujek Jay, podając jej tacę.

Uśmiecham się, kręcąc głową, i schylam się, żeby wyciągnąć z lodówki *banchan* od pani Kim. Prostując się, przyciskam plastikowe pojemniki do klatki piersiowej. To najlepszy moment, by się ulotnić, a mimo to stoję w bezruchu za barem. Bomi przełącza kanał w telewizorze i włącza playlistę ze swoimi ulubionymi piosenkami K-popowymi w stylu indie rocka, a następnie znika w głębi korytarza z tacą pełną smażonego ryżu z kimchi. Przy jednym ze stolików w głównej sali siedzi czwórka studentów stukających się kieliszkami i świętujących nadejście weekendu.

Czuję ucisk w piersi. Może wujkowi i Bomi przydałaby się dziś moja pomoc. Nie *muszę* przecież wychodzić dziś szybciej. Powinnam co prawda wstać jutro wcześniej na lekcje gry na wiolonczeli, ale mogłabym w sumie jeszcze trochę tu zostać.

— Co ty tu jeszcze robisz? — pyta wujek Jay, nie spodziewanie pojawiając się obok mnie. Tym razem niesie na tacy przepołowioną i wydrążoną łupinę arbuza wypełnioną mieszanką arbuzowego mięszu, soju, limonki i wody gazowanej. — Jeśli się nie pośpieszysz, to ucieknij ci autobus! — woła przez ramię, wychodząc zza lady. — Napisz mi SMS-a, gdy dojedziesz do domu!

Nic tu po mnie. Wzdycham, poprawiam torbę na ramieniu i idę w kierunku wyjścia. Wraz z otwarciem drzwi twarz owiewa mi chłodne powietrze.

Dochodzi dwudziesta druga, a mimo to na zewnątrz jest jasno, jak za dnia. Wszystko za sprawą wszechobecnych neonów reklamujących okoliczne sklepy, salony i bary. „Imperium Włosów Sookie” jest już zamknięte, ale

w herbaciarni „Boba Land 2” dostrzegam stojącą za ladą sprzedawczynię, żującą gumę balonową i przeglądającą coś w telefonie. Na rogu znajduje się koreańska restauracja, w której siedzi grupka studentów i biznesmenów rozmawiających i przygotowujących mięso na węglowym grillu.

Przy krawężniku czeka już autobus, więc ustawiam się na końcu kolejki, za pozostałymi pasażerami. Płacę za bilet i wchodzę głębiej, łapiąc się poręczy i poprawiając reklamówkę z *banchan*. Autobus rusza, zapieram się, a przewieszona przez ramię torba uderza w osobę siedzącą na jednym z pojedynczych miejsc wzdłuż przejścia.

— Przepraszam! — rzucam, odwracając się. Siedzący tam chłopak podnosi na mnie wzrok.

To on. To nieznajomy z klubu karaoke.

— Co ty tu robisz? — odpalam bez zastanowienia, choć odpowiedź wydaje się oczywista: jedzie autobusem. — Mówiłeś przecież, że nie masz pieniędzy.

Unosi jednorazowy bilet.

— A ty co tu robisz? Wyrwałaś się z pracy? — Milknie na chwilę, a następnie na jego idealnych ustach pojawia się złośliwy uśmiešek.

— A może mnie śledzisz, co?

— Ja... nie... — jąkam się.

— Zamierzasz tu usiąść? — Czuję, jak jakaś kobieta klepie mnie lekko w ramię i wskazuje na miejsce za nim.

— Och, nie, nie — zaprzeczam i odsuwam się, pozwalając jej usiąść. Tkwię tam jeszcze chwilę, w niezręcznej ciszy, po czym przechodzę na drugą stronę autobusu, czerwona na twarzy z zażenowania.

Pojazd zwalnia przy Zachodniej Ósmej i do środka wchodzi grupa studentów wraz ze starszą Koreanką o charakterystycznej siwej fryzurze na trwałą. Chłopacy musieli dopiero co wyjść z baru, bo roztaczają wokół siebie woń kurczaka i piwa, a ich głosy są podniesione i radosne. Nie mają już gdzie usiąść, więc blokują niemalże całe przejście, rozma-

wiając w podgrupach i trzymając się poręczy. Są tak pochłonięci swoimi sprawami, że nie zauważają chcącej precyzyjnie się między nimi babcia.

Autobus rusza spod krawężnika, a na twarzy kobiety pojawia się przerażenie, kiedy po raz kolejny nie udaje jej się obejść studentów. Podnosi wzrok, lecz zwisające z sufitu uchwyty są poza jej zasięgiem. Pojazd wjeżdża w dziurawy asfalt, a babcia się potyka.

— Uwaga! — wymyka mi się, gdy robię krok w jej stronę.

Ubiega mnie jednak chłopak z klubu, łapiąc kobietę za ramię.

— *Halmeoni* — mówi do niej po koreańsku, a jej usta drżą na jego widok. — Jest pani cała? — pyta nieznajomy, a ona kiwa głową, że tak. Następnie prowadzi ją do swojego miejsca przy oknie. — Niech pani usiądzie — zwraca się do niej, wskazując na siedzenie, a gdy ta się usadawia, klepie go po ramieniu, chwając po koreańsku.

Odrywam od nich wzrok, a serce wali mi jak oszalałe. Ta starsza kobieta mogła przecież upaść. Zastanawiam się, co bym zrobiła, gdyby ten chłopak jej nie zauważył, gdyby nie zaoferował jej swojego miejsca. Co by się stało, gdyby nie był tak szybki i spostrzegawczy?

Ktoś łapie za uchwyt na prawo ode mnie, co wnioskuję po cichym skrzypnięciu.

Wpatruję się w punkt przed sobą, prosto przez okno, a autobus objeżdża wypełnioną straganami ulicę.

Czuję, jak ktoś się nade mną nachyla. To chłopak z karaoke pochyla się, zerkając przez szybę.

— Co to za impreza?

Jestem mu wdzięczna za to, jak zachował się w stosunku do *halmeoni*, więc mu odpowiadam.

— To coroczny festiwal koreański. Wygląda na to, że w tym roku zamknęły kilka ulic. — Na jego czole pojawia się niewielka zmarszczka, co uświadamia mi, że może nie jest stąd i nie zna tej okolicy, pytam więc: — Gdzie jedziesz?

— Nie wiem.

Marszczę brwi.

— Jak to nie wiesz?

— W sumie to tak jakby uciekam.

Czekam, aż wybuchnie śmiechem, ale jego twarz pozostaje poważna i trochę smutna.

— Od gangsterów? — pytam ze śmiertelną powagą.

I gdy się uśmiecha, czuję lekkie ukłucie satysfakcji.

— Od... — zaczyna, a jego uśmiech błędnie nieznacznie. — Od *chaegim-kam*. Jak to się mówi po angielsku?

— Od odpowiedzialności.

Słowo „odpowiedzialność” odnosi się w koreańskiej kulturze do bardzo wielu rzeczy. Może wiązać się z czymś tak błahym, jak wynoszenie śmieci, lub z czymś tak istotnym, jak presja ze strony rodziny, by zachowywać się w określony, nieprzynoszący jej wstydu, sposób. Przyglądam się jego odbiciu w oknie i zastanawiam się, od jakiej odpowiedzialności ucieka.

Wracam myślami do chwili, kiedy weszłam do pokoju, w którym siedział. Dociera do mnie, że musiał tam spędzić co najmniej godzinę, a może i dwie. A teraz stoi w autobusie, nie wiedząc, gdzie się udać. Z jednej strony jestem ciekawa, od czego ucieka i dlaczego czuje, że to jedyne wyjście. Z drugiej jednak wiem, jak to jest, kiedy jedynym sposobem na poradzenie sobie z nadmiarem wewnętrznych emocji jest... ucieczka.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że warto czasem skupić się na sobie i zrobić krok w tył, nawet gdy przygniata nas ciężar odpowiedzialności — wyznaję. — Trudno pomagać innym, jeżeli najpierw nie pomoże się samemu sobie.

Dziwnie się czuję, radząc komuś w podobnym wieku, ale to słowa, które i ja powinienam wziąć sobie do serca. Na szczęście on nie wydaje

się tym zmieszany, tylko trawi to, co powiedziałam, przygryzając wargę. Patrzy mi w oczy, a jego spojrzenie wyróżnia się niezwykłą intensywnością, od której czuję motylki w brzuchu.

— Nie przychodzi mi to z łatwością — przyznaje, stojąc tak blisko mnie, że widzę dokładnie kolor jego oczu, ich głęboki brąz. — Chciałbym jednak wierzyć, że tak powinno się robić.

Ktoś wpada na niego od tyłu. Na jego twarzy pojawia się wyraz niezadowolenia, a z ust wymyka się ciche przekleństwo. Przysuwa się do mnie i poprawia temblak. Popchnął go jeden ze studentów, który śmieje się teraz, stojąc nieopodal w grupie swoich znajomych.

— Ej! — rzucam, zirytowana zarówno tym, co wydarzyło się przed chwilą, jak i tym, jak ci starsi chłopcy potraktowali tamtą babcię. — Nie widzisz, że ma złamaną rękę? Odsuń się trochę.

Autobus zbliża się do przystanku przy ulicy Olympic. Za nami otwierają się drzwi i do środka wchodzi kilku nowych pasażerów. Student, wyraźnie wstawiony, zdaje się nie rozumieć, czego od niego chcę i dlaczego w ogóle się do niego odezwałam, a potem stwierdza z pogardą, że to przecież wolny kraj.

— Masz rację — odpowiadam. — Tu możesz być człowiekiem albo dupkiem, jak widać, ty wybrałeś to drugie.

Zapada cisza. Twarz studenta zaczyna się rumienić. O, kurde!

Patrzę na chłopaka z karaoke, a on odwzajemnia moje spojrzenie, po czym wyciąga do mnie rękę. Nie musi mi nic tłumaczyć. Momentalnie chwytam go za dłoń i razem wybiegamy przez zamykające się drzwi autobusu.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

TWÓJ CZAS NA PODJĘCIE DECYZJI SIĘ KOŃCZY...

Jenny od dzieciństwa miała konkretne, poukładane plany. Uwielbiała grać na wiolonczeli. Aby rozwinąć talent, musiała się dostać do naprawdę dobrej szkoły muzycznej. A to wymagało poświęceń. Jenny podporządkowała więc wszystkie marzenia muzyce. Pewnego dnia zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Spotkała tajemniczego, przystojnego chłopaka. Jaewoo umiał sprawić, że nie bała się z nim rozmawiać o swoich zamiarach i pragnieniach. Czuli, że łatwo mógłby stać się dla niej kimś więcej. Spędzili razem niezapomniany wieczór, ale następnego dnia Jaewoo musiał wracać do domu, do Seulu.

Kilka miesięcy później także Jenny znalazła się w Seulu — przeprowadziła się tam z mamą, aby pomóc jej w opiece nad chorą babcią. Dostała się do elitarnej szkoły muzycznej i mogła dalej szlifować swój talent. Okazało się, że do tej samej szkoły chodzi Jaewoo. Kiełkujące nieśmiało uczucie odżyło. Ale Jaewoo nie był zwykłym chłopcem. Był członkiem uwielbianego K-popowego zespołu XOXO, a to oznaczało, że obowiązywały go szczególne zasady. Na przykład taka, że nie wolno mu było mieć dziewczyny. Jenny szybko zrozumiała, że jeśli pójdzie za głosem serca, oboje mogą stracić wszystko, na co ciężko pracowali, odmawiając sobie dzieciństwa.

Czy była gotowa na takie ryzyko w imię pierwszej miłości?